

Pietkiewicz Antoni

DRZEWO PRZEKŁĘTE

I.

Kto z was nie słyszał o czarodziejskiej własności cudownego kwiatu paproci? Kto nie wie, że szczęśliwy jego posiadacz, wraz z nim, dziedziczy wszechmocny dar pojmowania mowy całej natury, dla innych śmiertelników niemej i martwej? Pewności wszyscy o tem słyszeli, ale ani wątpić, że mało kto po za wiek błogi dziecięstwa wyniósł wiarę w prawdę tego podania. A przecież tak jest w samej istocie. Zaczawszy od gwiazdzistych stropów niebieskich, które opowiadają chwałę Bożą głosem potężnym, aż do bezdennych morskich otchłani; zaczawszy od orła siekającego chmury gromonośne skrzydły dzielnymi, do najdrobniejszej muszki, kryjącej się

w kwiatów kielichu; od niebotycznej Czymalary, do maluczkiego pyłku pod stopami naszymi; od wspaniałych cedrów i baobabów, do najmniejszego trawki ździebelka: wszystko ma swoją mowę właściwą, a mędrszą, bogatszą i świętszą od ludzkiej; zdolną nauczyć nas prawd najwznioślejszych, bylebyśmy tylko posłyszeć i zrozumieć ją mogli:... bylebyśmy tylko mieli kwiat paproci. A nie myślcie, proszę, że to tak trudno go osiąść, jak wam stara niańka

prawiła; że go szukać potrzeba w głębi puszczy mrocznych, w straszną
północną
porę; że chcąc go zdobyć, walczyć należy z piekielnymi zastępami
upiórów, wiem i
złych duchów. Bynajmniej! Każdy z was wyhodować go może na
żywej roli serca
własnego, byle jej stosowną uprawę dać umiał, byle jej nie dozwolił
zakrzepnąć w
chłodzie mędrkowania, albo się przepalić w skwarze złych
namiętności; byle miał
dla niej dość łagodnego ciepła w wierze

i miłości, dość rosy niebieskiej we łzach przezczystych. Przy takich
warunkach,
najczęściej sam on zakwitnie mimo naszej woli i wiedzy, i pokornych
prostaczków
w mędrków wielkich zamieni, jak tego kmiotka, o którymście także
od nianki
pewno słyszeli, co szukając wołów, w lesie zabłąkanych, w cudowną,
noc Kupajły,
przypadkiem strząsnął w obuwie kwiat ten czarodziejski i stał się
sławnym na
wszystek świat Znachorem.
Nie miejcież mi tego za samochwalstwo zuchwałę, kiedy wam
powiem, że w życiu
mojem nieraz mi się trafiały chwile takie błogosławione, w których
wyraźnie
czułem jako ten kwiat w duszy mojej rozkwitał, i dzięki mocy jego
cudownej,
rozumiałem mowę wszystkich istot martwych i niemowców, i w
uroczystym
podniesieniu ducha słuchałem i tej wielkiej pieśni, która arcy-mistrz
najwyższy
gromami i piorunami gra na wszystkich żywiołach, naciągniętych jak
strony, przy

wtórce duchów wszystkich (), i tego hymnu rzewnego, który nuca
rzesze kłosów na
niwach, bijące Bogu nieustanne pokłony, i tych modlitek
serdecznych, które
szepcą, muszki złociste w powietrznych celkach swoich,
zbudowanych z wonnych
listków róży i lilji; słuchałem i tych dziwnych powieści, które
opowiadały mi
starych zamków zwaliska i stepowe kurhany, i pochyłe krzyże na
rozdrożach, i
białe ludzkie kości z grobów wywiane!
Boże mój wielki! gdybym mógł znaleźć w naszej biednej mowie
człowieczej wyrazy,
zdolne to wszystko wiernie powtórzyć, jakież to cudowny poemat bym
wam wyśpiewał!
Ale ich nie ma, niestety! i poemat mój, podsłuchany u największego
poety, u
wszechświata, musi pójść ze mną do grobu, z kąd go już chyba trupia
czaszka moja,
lub duch bujający z wichrem pod gwiazdami komuś powtórzy...

() Arcy-mistrz A. Mickiewicza.

Nie mogę się jednak powstrzymać, aby wam nie opowiedzieć, ku
zbawiennej nauce,
dziwnej jednej historji, którą mi kiedyś prawiała spróchniała deska
trumienna,
wygrzebana wiatrem z cmentarzyska starego. Słuchajcież proszę.

II.

Baz w dalekiej podróży wypadł mi nocleg w lichej mieścinie, której
wszakże imię
bardzo mi drogiem było, wiążąc się ze wspomnieniem pewnej zacnej
rodziny, co
przez kilka pokoleń dziedzicząc tę posiadłość, w ostatnich potomkach
burzą losów
przeciwnych na kraj świata zagnana, tylko groby swych przodków na
ojczystej
ziemi pozostawiła, czci im przysporzywszy własną cnotą
obywatelską. Chcąc się u
tych grobów pomodlić, choć można jeszcze było kawał drogi ujechać,
przed
zachodem słońca na noc stanąłem, i do kościoła poszedłem z
serdeczną moją dla
tych zmarłych ofiarą. Mury tej świątyni wyłożone były kilkunastą
marmurowymi
tablicami, których

napisów czytać nie potrzebowałem, bo we własnym sercu i pamięci,
żywymi głoskami
miałem wyryte zacne imiona tych ludzi i czyny ich, wiekopomnej
godne pamięci.
Ukląłem tylko, i rozrzewnioną myślą objąwszy dzieje kilku wieków,
a w nich
dzieje tego rodu bohaterskiego; wspomnienie spraw jego
poświęconych duchem
ofiary, składałem przed tronem Bożym, jako najmilszą niebu
modlitwę. I zanurzony
w tem rozpamiętywaniu, ani się spostrzegłem, jak mrok głęboki
kościół ogarnął,
jak go blask księżycowy zwolna rozproszył, aż mię dziadek kościelny,
niecierpliwie w klucze brzęknąwszy, z zapomnienia mego ocucił.
Wyszedłem, i rozmarzony, zamiast się udać na spoczynek, ku
wielkiemu zdumieniu i
trwodze mego przewodnika, jałem się błąkać po cmentarzysku,
kościół otaczającym.

Położone na piaszczystym pagórku, smutny i ponury dawało ono widok. Grobowce

murowane na ruchomym gruncie, jedne do połowy żółty piasek zasypał, drugie wicher podkopał, pochylił lub obalił; darnina rość tu nie chciała, drzewka i krzewy cherlały, nie mogąc wyżyć tą trupią, strawą, która jedynym była dla nich posiłkiem; gdzie niegdzie też i kość ludzka bieląca, wygrzebana z mogiły świętokradzką wiatru swawolą. Ze ściśniętym sercem przechadzałem się po tym grodzie umarłych, gdy nagle się potknąłem o spróchniałą, deskę trumienną, sterczącą z pod kupy gruzów zburzonego pomnika, w odleglejszej stronie cmentarza, gęsto zasianej kośćmi białymi. Drewno, potrącone niebacznie przezemnie, jęknęło żałośnie, skarżąc się pocichu. Stałem, zdjęty zdumieniem, i modlić się za umarłych zacząłem; ale deska trumienna skarg swych nie przerywała, coraz silniejszy głos podnosząc, jakby uradowana, że się znalazł ktoś taki, co ją zrozumie i co da jej się z bólów swych wyświadczyć.

Ciekawość przemogła we mnie trwogę i zdziwienie; usiadłem na zwalisku grobowca, dając się za chętnego słuchacza, i zagadnąłem drewno jęczące o jego dzieje. Deska trumienna, po chwilowym milczeniu, w którym snąć zbierała długich lat

wspomnienia, westchnąwszy smutnie, tak opowiadać zaczęła:
"Dawno to temu, lat już pół tysiąca, byłam jeszcze drobnem
ziarenkiem i z
gronkiem kilkunastu braci i siostrzyczek, zamknięta w szysce zielonej,
wisząc u
gałęzi sosny rozłożystej, stojącej na skraju puszczy odwiecznej, ponad
brzegiem
rzeki, bujałam wesoło w swej rozkosznej kolebce, między niebem a
ziemią,
słuchając gwaru fali, prawiącej drzewom sędziwym o cudach krajów
dalekich, które
przebiegła, i rzewnej pieśni sosny matki mojej, co mnie do snu
kołysząc, nuciła
mi uroczo o tem, co od fali, od przelotnych obłoków i od ptaków
słyszała: o
masztach wyniosłych, strojnych w żagle białe i flagi barwi-

ste; o dworcach i kościołach wspaniałych, i o krzyżach wysokich... raz
tylko
kruk czarny coś mi o szubienicy zakrakał... Rozmarzona piosenką
matczyną śniłam
rozkosznie, jak z czasem urosłszy w drzewo olbrzymie, igrać będę w
okręcie na
morskich wałach spienionych, albo się położę na podwalinę wielkiego
dworu, gdzie
pocziwa a dzielna szlachta odpoczywać będzie po chwalebnych
trudach bojowych;
lub w palisadzie twierdzy bronić będę drogiej ziemi rodzinnej od
napaści wrogów;
albo w krzyżu stanę przy drodze i świętymi ramiony błogosławić będę
bogobojnym
wędrowcom...

III.

Właśnie się zbliżała już pora, gdy matka-sosna miała postawić na
ziemi naszą
kolebkę, w której słoneczne promienie pootwierały już obsłonki,
długo nas
trzymające w ciemności i zaciszu, i z niecierpliwą radością
oczekiwałam tej
chwili, kiedy już nowem, samoistnem życiem żyć zacznę i
bezpośrednio z ziemi i z
nieba czerpać jego zdroje cudowne. Tymczasem z ciekawością
najwyższą wpatrywałam
się w piękny świat Boży, chciwie chwytając rosę rzeźwiącą, i kapiącą
się w
balsamicznem powietrzu, z zazdrością spoglądałam na matkę-sosnę i
jej
rówiennice, majestatycznie rozrosłe.

Raz w noc pogodną, spoglądając z zachwytem po szerokiej rzece,
której fala
modrawa migotała milionem złotych płomyków, zapalonych przez
księżyc,
spozstrzegłam cień jakiś, czarnym słupem w poprzek nurtów sunący, i
lepiej się
wpatrzywszy, poznałam w nim człowieka, który niebawem dotarłszy
łodzią do
brzegu, z lukiem na plecach, z wielkim mieczem u boku, i z toporem
w ręku
skoczył w zarosłe.
Po chwili straszny łoskot zagrzemiał wśród puszczy, drzemiącej w
nocnej ciszy...
Niewiem czemu zadrżała matka moja sosna, i nas wszystkich w
kolebkach naszych
dziwna trwoga przejęła. Wkrótce łoskot umilknął, a człek ów znowu
się zjawił na
brzegu, wlekąc długie wici za sobą, świeżo wycięte w lesie. I zabrał je
do

łodzi, i płynąc powoli mierzył głębokość toni, i w miejscach
najpłytszych wbijał
tyki wysokie, znacząc drogę z brzegu do brzegu.

Z trwożnym zdumieniem spoglądałam na to ze szczytu drzewa; a stare
sosny z
gwarem złowrogim i jękiem dzikim miały się rozpacznie, jakby w
walce z wichrem
szalonym, jakby się wyrwać z ziemi pragnęły i gonić za owym
człowiekiem; i
ptastwo zbudzone tym niespodzianym hałasem, zakwiliło żałośnie, i
zakrakały
kruki złowieszcze...
I znowu łódź do naszego brzegu przybiła, i wyskoczył z niej żeglarz
ów
tajemniczy, i pięść zaciśniętą wznosząc do góry: ha! zgrzytnął z
szyderyczym
uśmiechem, — zobaczymy teraz, Królu chłopów czyje na wierzchu?!
Przyprowadzę ci
gości, co już niejeden łan kmiecy, za który tak się ująłeś, ale
wszystkie
królestwo twoje stratuja!"
I skoczył na rumaka uwiązanego u drzewa, i jak wichur gdzieś w
świat pogonił; a
z ostatniem echem kopyta straszna cisza puszcę zaległa, smutna
zaduma ogarnęła

drzewa sędziwe, i poczerniało niebo żałośnie, i ciemność wielka
nastała.
Aż oto nagle blask dziwny oblał całą rzekę, łuną jaskrawą zażegł całe
niebiosy i
rozświecił mroczną puszczy głębinę. Drżąc z mą kolebką,
wpatrywałam się w tę

stronę, z kąd blask wytrysnął i ujrzałam trzy złote łodzie mknące po fali, a w trzech złotych łodziach, trzech młodzianów w długich szatach złocistych, ze złotymi skrzydły u ramion, z obliczem dziwnej piękności i jasności słonecznej. Złotemi wiosły lekko trącając nurty, chyżo mknęli młodzieńcy wzdłuż brzegów rzeki; a kiedy zrównali się z wiciami, przez owego człowieka postawionemi, wszystkie one same z miejsca się ruszyły, i płynęły za nimi równym szeregiem, aż doszły do miejsca, gdzie, jak to nieraz słyszałam flisów powiadających, toń niezgłębiona była. Tu się wstrzymali dziwni żeglarze, tu i wici stanęły, jak wbite w wodę. Żeglarze i łodzie rozwiały się nagle

w powietrzu, wici pozostały na miejscu, i znowu cisza i ciemność ziemię ogarnęły. Dzień nastał, lecz mrok się prawie nie rozproszył, bo niebo chmur nie zdjęło i wiatr ich nie ruszył, i puszcza stała milcząca, nawet kwileniem ptasząt nie ożywiona. I znowu noc przyszła... chmury opadły, księżyc jasny zabłysnął, i miliony płomyków sypnął na modrą falę i rozświecił wiechy wśród niej nieruchomo sterczące. A cisza trwała jak wprzód; kiedy niekiedy tylko dreszcz nagły matki mej sosny i drzew sąsiednich świadczył mi o drzeniu ziemi, wstrząsanej tajemną jakąś zgrozą czy trwogą... Po niejakiem czasie drzenie to coraz częściej

powtarzać się zaczęło i zagwarzyły sosny pocichu, jedna drugą
pytając, coby to
znaczyć miało?... Aż nagle cała puszcza strasznym zakipiała szumem i
łaskotem, i
wściekłym napełniła się rykiem, jakby chmura gromowa z. wichrem
niszczącym przez
nią się parła, rwąc i łamiąc drzewa po dro-

dze, i w tejże chwili wypadła z niej tłuszcza nieprzeliczona jeźdźców
uzbrojonych, i z dzikim wrzaskiem, pędem szalonym, skoczyła w
nurty rzeki, tam
gdzie owe wici były utkwione. Mała tylko garstka pozostała na
brzegu, aby się
patrzeć na zgubę swoich współbraci, co się rzuciwszy w otchłań
bezdenną, porwani
prądem gwałtownym, po chwilowej walce z nim nadaremnej,
przepadli w rozhukanej
rzeki odmętach.

— Zdrada! zdrada! — zawyli pozostali na brzegu, i cała puszcza
przeciągiem
echem po dwakroć powtórzyła: zdrada! I wszyscy ze wściekłością
zwierzęcą rzucili
się na jednego, co stojąc nieco opodal, ze zdumieniem i przerażeniem
na tę
straszną klęskę spoglądał. Był to ów żeglarz nocny, co mieliznę
znaczył wiciami
i gości królowi swemu zapowiadał.
Obskoczony i ściągnięty z rumaka, daremnie się wypraszał...
zarzucono mu powróż
na szyję i powleczono ku drzewom.

W szeregu sosen, stojących na brzegu lasu, moja tylko matka najniżej
opuszczała

gałęzie. Na widok wlezonego owego zdrajcy, zadrżała aż do rdzeni, i
ze zgrozą
chciała umknąć w górę wszystkie konary swoje; ale daremny był
rozpaczny wysiłek!
Zatrzęsa się tylko jej bujna wiecha, zaszumiała gwałtownie, jakby w
nią wicher
mocny uderzył, i ani jednej gałązki nie podniosła, i zdrajca na niej
nikczemnego
ducha wyzionął!! Oprawcy jego z przekleństwem i wyrzekaniem
poszli skąd
przyszli.

IV.

Mamże powiadać jak okropna rozpacz, jaki ból niezmierny ogarnął
moją matkę
nieszczęsną, której sędzono służyć za szubienicę temu potworowi?....
mamże
powiadać jakieśmy wszystkie wraz z nią bolały i z jakim wstrętem, z
jaką ohydą
spoglądałyśmy na wisielca bujającego pod nami, z twarzą obróconą
ku onym
wiechom, w które się zdawał z przerażeniem wpatrywać krwawemi,
wybiegłemi na
wierzch oczyma... Cała puszcza dzieliła nasze uczucia; drzewa
poblższe
miotły się i szamotały gwałtownie, jak gdyby pragnąc uciec od
naszej matki,
której przeklinały sąsiedztwo, złorzeczając jej naturze, za to, że tak
nisko
konary swoje trzymała!

Nieszczęsna matka moja długo targając się daremnie, i trzęsąc aby
zrzucić

cielsko obmierzłe, wysilona tą walką, smutnym już tylko szumem
modliła się do
Nieba, błagając odeń wicheru lub gromu, coby ją zgruchotał i koniec
jej
męczarniom położył. I wysłuchało Niebo litościwe: ryknęła burza i
pierwszy
piorun roztrzaskał biedną męczennicę, a wszystkie jej członki
ostatnim wysiłkiem
tak się szarpnęły, że obok trupa ani jedna trzaska, ani jedna gałązka,
ani
szpileczka nawet niepozostała.. ja tylko, nieszczęśliwa ofiara
fatalizmu
jakiegoś, padłam mu na piersi i zaplątałam się w szaty tuż koło serca!
Obumarłam z bólu, wstydu i hańby! niestety nie na wieki!...
powróciłam do życia
w nowej postaci, wyjrzałam z pieluszek zielonemi szpilkami i
uczułam, że biorę
soki żywotne z tego serca sprośnego, na które piorun mię wonczas
rzucił! Snąc
tego cielska ni zwierz, ni ptak drapieżny nie tknął, mijając

je ze wstrętem w głodzie nawet największym, bo i kościska calutkiego
szkieletu
dokoła mnie bieleły, a żebra osłaniały mię wkoło, jakby umyślnie, aby
za ochronę
mi służyć. Ach, jakżem złorzeczyła tej ochronie ohydnej! jak gorąco
umrzeć
pragnęłam! Daremnie! grunt użyzniony sercem owem podłem, służył
mi wybornie;
rosłam, bujałam, jak żadna z rówiennic moich! Pocieszałam się
myślą., że jak mi
przyjdzie przez owe żebra się przeciskać, co nademną sterczały, to
one mię
zgniotą.... Gdzie tam! przeszłam pomiędzy nimi swobodnie, a
później mój pieniek

rozparł je, odepchnął i rósł i wzmagał się szczęśliwie, dziarski i bezpieczny.
Jedna mi już tylko pozostała otucha, że jak dorosnę jakiej takiej miary, to mię pocziwe flisy złamią na tyczkę, albo fujarkę ze mnie ukręcą. Myśl ta ostatnia najmilej mi się uśmiechała, bo mogłaż być dla mnie dola szczęśliwsza, jak stać się pośredniczką w wy-

laniu rzewnej tęsknoty jakiegoś biedaka, co płynąc na kraj świata, płacze po ziemi rodzinnej i ukochanych swoich! O ręczę że nie byłoby rzewniejszej piosnki nad tę, któraby się ze mnie wylała!....
Niestety! daremna była otucha! Mijały dni, miesiące, lata, lat dziesiątki, minęły trzy wieki, a niczyja ręka mię nie tknęła, i wyrosłam drzewem olbrzymiem, wystrzeliłam głową nad całą puszcze wspaniałą!... a wraz z moim ciałem, rozrósł się i wybujał i ból mój i uczucie mej hańby! Mnożyły się one z każdym szeregiem nowych gałęzi, z każdą nową na mnie szpileczką, i trzy długie wieki było tych męczarni! trzy wieki! Zrozumieszże to ty człowiecze, co tak rychło zacierasz miłe i niemiłe wrażenia w swoim umyśle, tak rychło zmieniasz uczucia, i pamięć o nich tracisz? zrozumiesz?... chyba w wieczności!...
Ale nie koniec na tym bólu głównym, pierwiastkowym!... Wyraźnie przeklęstwo

jakieś ocieężało nademną! Zaledwie na kilka łokci podniosłam się od ziemi,
zaledwie doszłam do wieku, w którym jaką taką korzyść zdolnam
była przynosić w
ogólnej harmonii świata i pocziwą służbę na nim sprawować, służbę
od jakiej
nawet głąz martwy wolny być nie może, z największą zgrozą
spozrzegłam, że mi
sądzono było same tylko klęski sprawować! Pierwsza mrówka, co
wpełzła na me
gałązki, zagrzezła biedna w lepkiej mojej żywicy, i w długich,
strasznych
męczarniach, życie skończyła; pierwszy chrząszczyk co na mnie
przysiadł
odpocząć, wnet był pożarty przez ptaka; pierwszy ptaszek, co ku mnie
z wesołą
piosnką przyleciał, upadł strzałą przeszyty, krwią mię swoją
zbroczywszy.
Pierwszy strzelec, co podemną stanął na przesmyku, przez
rozjuszonego odyńca
śmiertelnie był raniony; pierwszy wędrowiec, co u pnia mego legł na
nocny
spoczynek, zginął

pod nożem zbójeckim!... słowem, co mię tylko dotknęło, co się tylko
do mnie
zbliżyło, wszystko przy mnie zgubę znalazło! i zliczyć nie potrafię
tych ofiar,
które u stóp moich przez dwa wieki poległy....

V.

Nareszcie zabłysła dla mnie chwila szczęśliwa! Raz kilkunastu ludzi
przyszło z

toporami w tę stronę puszczy, gdzie rosłam, i zaczęły się walić drzewa
w koło
mnie. Błoga otucha w serce moje wstąpiła, że rychło kolej przyjdzie i
na mnie...
Jakoż w samej rzeczy, potężne cięcie siekiery, w pień mój
wymierzone, wraz z
bólom straszliwym najżywszą radością, wskroś mię przejęło, i
zadrżałam
rozkosznie aż do samej rdzeni, i uroczystym szumem wszystkich
gałązek, Bogu
dzięki posłałam... Cios po ciosie bił we mnie chyżo, topór coraz
głębiej wjadał
się w moje wnętrze i głośne echo biegło po lesie; a ja mu wtórzając
hymnem
dziękczynnym, z pokorą chyliłam

się ku ziemi, w uszczęśliwieniu bólu nie czując...
Runęłam wreszcie i łoskotem stu gromów całą puszcę zatrzęsłam, a
rozpacz i ból
na nowo mię przejęły; bo i w ostatniej chwili jeszcze sądzono mi było
stać się
sprawczynią cudzej niedoli: kilkadziesiąt młodych drzewek zламаłam,
tysiące ziół
i kwiatów zmięłam na miazgę, tysiące wymordowałam owadów, i
zgruchotałam
człowieka, co mi największe dobrodziejstwo wyświadczał, życie mi
chcąc odebrać!
Przez pól przywalony ciężarem potężnego pnia mego kmieć
nieszczęśliwy, jak wąż
wijąc się z bólu, daremnie jękiem żalonym wzywał ratunku! Cała
gromada jego
towarzyszów nie miała dość siły na to, aby mię z miejsca poruszyć. Po
bezskutecznych wysiłkach jęli się zwawo do siekier, aby odrąbawszy
część mego
ciała, przygniatającą biednego cieślę, łącniej go z pod niej wyzwolić.

O jakże cierpia! jakże wyrzekał, głosem konającym polecając Bogu
żonę i drogie
działki swoje!! Szczęśliwy! nim mie przecięto, już on skończył
męczarnie, a ja
nieszczęsna, co wraz z nim stokroć srożej odeń cierpiałam, co wraz z
jego jękiem
żałosnym, słyszałam jęków i złorzeczeń tysiące, miotanych przez te
wszystkie
istoty, które sobą przygniotłam; ja z rozpaczą szaloną w owej chwili
sposzregłam, że z pnia strącona żyć nie przestałam, i że mi już wieki
wieczne
tak cierpieć i światu szkodzić; że nawet kiedy mię ogień w popiół,
albo
zgnilizna w proch obróci, to i wtedy jeszcze użyźnię ziemię pod jakies
ziele
trujące!...

Wydobyto nareszcie trupa z podemnie; okrzესano mię z gałęzi,
porąbano na sztuki,
zwalono na kilka wozów, na jednym z których złożono i
nieboszczyka, i żałobny
karawan powlekł się smutnie ku wiosce..

We wrotach zaszła nam drogę gromadka kobiet, co spieszyły z
działwą na spotkanie
swych mężów, wracających z roboty. Spojrzały i strasznym płaczem
uderzyły w
niebiosa ! Jedna z nich z trojgiem dziełek przypadłszy do woza, na
którym przy
mnie spoczywały zwłoki zakrwawione, jęła je ścisnąć, całować i
rzewnymi łzami
oblewać, rozpaczliwie zawodząc; a tyle bólu we łzach tych było, że
kiedy z nich
jedna na mnie się stoczyła, ja, drewno już ścięte i poćwiartowane,
większej

doznałam boleści, niż wszystkie te razem, które przez trzy wieki przeżyłam.
Na jęk ten wysypała się cała ludność w ulicę, i otoczywszy wóz, na którym ja wraz z zabitym człowiekiem leżałam, szła przy nas, płacząc i wyrzekając wzdłuż przez całą wioskę, a złorzeczyła i panu, co nieboszczyka rąbać drzewo był posłał, i drzewu, co go zabiło, i godzinie w którejono z ziarnka wyrzsało, i ziemi co je wydała!...

Słuchając skarg tych i przekleństw, cierpiałam srożej niż zbójca na rusztowanie wleczony:... srożej, bo ten się może pocieszyć myślą o niedalekim swym kresie; a dla ranie i tej pociechy nie było!... Widziałam i ja wprawdzie rusztowanie wzniesione na dziedzińcu dworca, do którego wozy zmierzały; słyszałam jak tam chrobotwały mordercze zęby piły, ćwiertujacej ciała moich współbraci; lecz byłam pewna, że tam się moje męki nie skończą..

VI.

Od dworskiej bramy gromadka kmieci nazad się cofnęła, i tylko biedna żona nieboszczyka z trojgiem dzieci przy mnie pozostała, płacząc, i za wozem weszła w podwórze.
Na ganku dworu starego stał jakiś mężczyzna, snać dziedzic tej włości. Ten

ujrzawszy wozy i płacz posłyszawszy przy jednym, zbliżył się ku
nam, aby się
dowiedzieć co to było. Spostrzegłszy trupa, ze wstrętem wnet od wozu
odskoczył,
i brwi marszcząc, groźnie się spytał, co to się stało?
Żona zabitego, za całą, odpowiedź do nóg mu się z płaczem rzuciła, a
w ślad za
nią i dzieci, srodze na nieszczęście swoje się skarżąc i zmiłowania
błagając; a
chłopi z kor-

nym pokłonem zaczęli opowiadać smutną przygodę.
Pan, nie zważając na płacz kobiety i dzieci u stóp jego leżących, z
gniewem
zawołał:
— Pocóżście go tutaj przywieźli? precz z nim! i któż mu winien, że
głupiec
wlaźł pod walące się drzewo?!
I zawrócił się ku dworowi gniewny i groźny; a twarz jego i ruchy
przypomniały mi
kogoś bardzo znajomego z czasów dalekich.... zdało mi się, że jak
żywy stoi
przedemną ów żeglarz nocny, co mieliznę w rzece tykami znaczył i
gości
strasznym królowi swemu zwiastował; co później wisząc na ramieniu
niej matki,
ducha wyzionął, a mnie w ziarnku do serca swego przyjął, bym zeń na
narzędzie
pomsty Bożej wyrosła... Miałżeby to być jego potomek?... Miałoby
niebo we mnie,
po długich leciech, wprowadzać karę i zgubę do tej rodziny za
straszny grzech
jej przodka?...

Kobieta z dziećmi powlekła się za nim na klęczkach, wiążąc mu się do kolan z
rzewnem błaganiem. On się obrócił, nogą ją odtrącił i krzyknął:
— Precz mi z oczu natychmiast! zabierz ztąd cielsko tego bydłęcia, a
zakopawszy, myśl o komornem, bo grunt i chałupa bez gospodarza
zostać nie mogą!
Padła nieboga, z bólu zmysły straciwszy; dzieci z jękiem żalnym na
jej się
łono rzuciły, a pan srogi w dworcu się zamknął.
Po chwili zrzucono mię z wozu na stos innego drzewa, trupa
wywieziono z
dziedzińca i cisza z nocą nastąpiła.
Nazajutrz zajęczały dzwony żałośnie w. wiejskim kościółku, i aż do
mnie doszedł
lament bolesny, w którym zaraz poznałam płacz biednej wdowy i jej
trojga
sierotek; musiał to być pogrzeb owego chłopca.... Żal serce mi ścisnął i
zapłakałam łzami żywicznymi....

O! i nie mało ich wylałam, leżąc na wierzchu stosu wielkiego,
bezwładna, martwa
na pozór, a codzień to nowe zbrodnie szerząca i opłakująca!...
Pająki mię obsnuły zdradzieckimi sieciami, i roje muszek codzień
przy mnie
ginęły; kot chytry przy mnie codzień siadał na czatach i chwycił
biedne myszki i
ptaszęta; puszczyk podemną obrał sobie mieszkanie, z kądem na łup
nocny wylatał

VII.

I długo tak leżałam na tem podwórzu, patrząc jak nieopodal tłum
robotników dom

nowy wznosił, i jak codzień to nowe kłody na rusztowanie wleczono i
ćwiertowano
piłami.

Nareszcie przyszła kolej i na mnie. Sądzone mi było z większą niż
inne paradą
pochód ten odbyć. Sam dziedzic z kilkoletnim swym synkiem wyszedł
przyglądać się
robocie, a po chwili stanął przed nim kapłan sędziwy, wiodąc z sobą
ową biedną
kobietę, której męża zabiłam przed dworna laty.
Nieraz ją widywałam na pańskim podwórzu, z płaczem przychodzącą
i z płaczem
powracającą, a coraz to smutniejszą, coraz to nędzniejszą w twarzy i
w odzieży.

Zrazu z trojgiem dzieci u drzwi pańskich stawała, potem tylko z
dwojgiem, a w
reszcie z jednym najmłodszym, ledwie czteroletnim. Zrazu gorzko
płakała i
wyrzekała, potem płakała tylko, a wreszcie i płakać przestała; ale cała
jej
postać, każdy ruch, każde spojrzenie smutniejsze nad najsmutniejszy
płacz było!!
I teraz łachmanami okryta, wychudła, sina, czarna, z włosami
rozczochanami, z
wzrokiem osłupiałym, z twarzą jakby zastygłą, na wyrazie strasznej
rozpaczy,
stała przy księdzu drżąca, bezmyślna, trzymając za rączynkę
czteroletnią
dzieweczkę, co jak i ona łachmanami okryta, wynędzniała jak ona,
miała jednak
twarzyczkę piękną anielsko, bladziuchną wprawdzie, ale
przezroczystej białości,
cudnie odbijającą przy złocistych kędziorach, rozwianych po niej
beładnie, i

ożywioną błękitnymi oczkami, ale tak błękitnymi, że aż blade liczko
zdawały się
błękitnem światłem rozświecać!... A jeszcze

niebożatko uśmiechało się wdzięcznie, patrząc na igraszki syna
dziedzicowego, co
się dokoła stosu raźnie uwijał, z psem wesoło igrając.
Kapłan, w imie Chrystusa powitawszy dziedzica, nie bacząc na
gniewne jego
spojrzenie, jakim niewiastę ową przyjął, rzekł uroczyście:
— Przychodzę domagać się sprawiedliwości dla tej nieszczęśliwej,
przychodzę
upomnieć się o pogwałcone prawa człowiecze!... Przejeżdżając dzisiaj
przez
wioskę Waszmości, wioskę wśród najżyźniejszych położoną, łąnów,
najpiękniejszym
plonem okrytych; znalazłem w niej walającą się na śmiecisku wdowę
z sierotą,
poddankę Waszmości, która ani przytułku, ani łyżki stawy w tej
bogatej włości
znaleźć nie może, a którą. Waszmość do tej nędzy strasznej
przywiodłeś!!...
— A toż jakim sposobem? — spytał się pan, brwi marszcząc.

— Jakim? mamże powiadać? Drzewo zabiło jej męża, pracującego
dla waszmości; a
Waszmość, nietylko żeś jej nie osłodził srogiej tej straty ojcowską
swoją
opieką, lecz jeszcze z trojgiem drobnych sierotek wyrzuciłeś ją z chaty
ojczystej, kazałeś iść w komorne, a słudzy twoi, zbrojni twą wolą,
domagając się
od niej spełnienia wszelkich powinności poddańczych, i uiszczenia się
ze

wszelkich opłat gruntowych, rychło ją ze wszystkiego wyzuli.
Niebawem już jej
kąta we wsi zabrakło, i nieszczęśliwsza od bydłęcia, co ma przecież
chlew jakiś,
po ulicach się z dziećmi walać musiała, nim litościwi ludzie
(litościwi!!)
dwojga starszych na pastuszków nie wzięli! Trzecie jej pozostało;
tego już nikt
wziąć nie chce, bo je i nakarmić, i umyć, i odziać trzeba, a korzyści
zeń
żadnej! A ją samą każdy z chaty wypędza, bo się prostactwo jej boi,
bo z nędzy i
żału w wielką chorobę nieboga wpadła i za

opętaną we wsi uchodzi! I gdzież się dzieje to wszystko? kraj-że to
chrześcijański? Chrzoścjanin-że pan tej włości?..
— Ależ mój dobrodzieju! — odparł dziedzic z gniewnem
szyderstwem, cóż to do
Waszmości należy i jakim prawem śmiesz mię upominać i gromić?
— Jakim prawem?!.. prawem wziętem od Boga, którego sługa
jestem. Weź waść
natychmiast tę nieszczęśliwą do swego dworu wraz z jej dziecięciem,
daj jej
pomoc lekarska, daj jej opatrzenie potrzebne, a przedewszystkiem daj
jej
okruszynę chleba powszedniego!
— Ho! ho! dobrzebym też wyszedł, żebym wszystkie włóczęgi
zbierał po
śmieciskach i do domu mojego garnał!
— W imię cię Chrystusowe zaklinam, opamiętaj się człowiecze, i nie
wywołuj
strasznej pomsty Bożej!

— Najpokorniej przepraszam waszą wielebność, ale mi czasu braknie do słuchania

perory... a zresztą kto tak pięknie umie nauczać, powinienby i pięknie czynić;

tu otwarte pole do popisu... do nóg upadam!...

— O Kazimierzu! Kazimierzu! — zawołał kapłan w uniesieniu szlachetnem, —

powstaćby ci z grobu, a na potomkach dokończyć tej nauki, którąś na przodkach

zaczął... Żegnam Waszmości: obyś w pierwszym swoim nieszczęściu nie przypomniał

sobie tej chwili, w której tak srodze odepchnąłeś Chrystusa,

żebrzącego twojej

litości...

I ujawszy za rękę biedną kobietę, niemą i bezwładną w swojej boleści, rzekł do

niej głosem łez pełnym:

— Pójdź ztąd niebogo! pójdź za mną z sierotką twoją; znajdę jeszcze dla was

kawałek chleba, a jego niechaj Bóg sędzi!...

VIII.

I poszedł, wiodąc za sobą niewiastę i dziecko, a pan za nim spojrział z uśmiechem

uragowiska, i wnet się ku robotnikom zwróciwszy, którzy zaniechawszy swej pracy,

ciekawie się tej scenie przypatrywali, groźnie zakrzyczał: do roboty hultaje!

Chłopi stojący na stosie drzewa, z którego właśnie mnie mieli brać na rusztowanie, porwali się spiesźnie do dragów, założyli je podemnie, szarpnęli z

całej mocy i potoczyłam się na dół z wielkim łoskotem, po nad który nagle

wybuchnął krzyk rozpaczliwy pana, podobniejszy do wycia wilka wściekłego, niż do

ludzkiego głosu...

— Syn mój! syn mój najmilszy! ryczał on W bólu szalonym i
przypadł do ziemi, i
por-

wał na ręce zgruchotane ciało swojej dzieciny, która się rozigrawszy,
nierozważnie do stosu drzewa podbiegła jak raz w tę chwilę, gdy ja na
ziemię się

stoczyłam, i padła zgnieciona ogromem cielska mojego! porwał je
ojciec, i jak

obląkany poleciał z niem do dworu...

Robotnicy, postawszy chwilę w smutnym milczeniu, pokiwali
głowami, popatrzyli

ku wiosce, której ulica sędziwy kapłan wiódł jeszcze biedną wdowę z
sierotą, i

znowu się wzięli do pracy, a wkrótce zawleczona na rusztowanie,
zajęczałam pod
żelaznymi zębami piły.

Nazajutrz śpiewem żałobnym nappełnił się dworski dziedziniec, a wraz
z tym

śpiewem rozległy się i jęki boleśne biednych robotników, których pan
gniewny

smagać rozkazał, za ich nieuwagę zbrodniczą!...

Nieszczęsny zapomniał, że tak w nich Boga swego biczował...

Rozpiłowana niebawem na kilkanaście cząstek, przebywszy rozmaite
zmiany i

katastrofy i niemało jeszcze nieszczęść wywoławszy, ujrzałam się
nareszcie

między czterema ścianami murowanej komnaty, aby za, podłogę jej
służyć.

Sto kilkadziesiąt lat tam przeleżałam, deptana stopami trzech ludzkich
pokoleń,

patrząc na ich życie domowe, i coraz to nowe klęski im przynosząc.

Pomijam drobne, codzienne wypadki: o ważniejszych tylko chcę mówić.

W pierwszych latach mego istnienia w tym nowym stanie, najczęściej imię Jana

Kazimierza obijało się o moje uszy, a gwarne życie szlacheckie jakie się wiodło

w tym domu, rychło mię oswoiło z biegiem owoczesnych wypadków, rychło mi bracia

szlachta wciąż się tam zjeżdżająca, opowiedziała wszystkie, co najważniejsze

sprawy publiczne. Dowiedziałam się tedy o wtargnięciu Szwedów

do Polski i o bratobójczej waśni w narodzie, i ze wstrętem najwyższym

wkrótce uczułam, że i po mnie deptać zaczęły stopy tych łupieżców, z którymi pan

tego domu przeciw królowi swemu się związał.

Nieraz też byłam świadkiem, jak jego żona z ukochaną swą córką, korzystając z

jego nieobecności, głośno wyrzekały na ten sojusz haniebny i rzewnemi się łzami

biedne zalewały, zebrząc Bożej litości, i o dobre natchnienie modląc się dlań

gorąco. Przy nim niebogie ust nie śmiały otworzyć, był to człek bowiem strasznej

gwałtowności, ręki i woli żelaznej. Żona mu była sługą, niewolnicą; córka bez

drżenia spojrzeć nań nic mogła, bladła jak ściana ilekroć doń się zbliżyć

musiała, a częstokroć biedaczka na hożej swej twarzyćce, jak wypalony ślad jego

dłoni nosiła! Syn niemniej srodze był traktowany: mimo lat dwudziestu truchlał w

obec niego, i bez szemrania najdziwacz-

niejszym jego chęciom ulegał; a mimo to nieraz, gdy powalony na
ziemię, jęczał
pod srogimi razami bizuna, któremi za lada winę, a czasem i bez
winy ojciec go
okładał, czułam to dobrze ile straszego gniewu, nienawiści i
pragnienia zemsty
było w tem sercu, które biciem gwałtownem we mnie kołatało, jakby
przeczuwając,
że do mnie pomsta należy. I on też raz jeden, raz jeden tylko,
półgłosem sarknął
przed matką i siostrą na pobratanie się ojca ze Szwedem, jednakże
nieszczęsny i
sam za nim iść musiał, tak go tyrańska wola tego człeka owładła!...
Ojciec i syn rzadkimi byli gośćmi w swym domu; a ilekroć wpadli na
chwilę z
swoją zbrojną drużyną, zawsze musiałam się nasłuchać niecných
przechwałek
partyzanta szwedzkiego, ile to wiosek i dworów w gruzy obrócił, ile
braci oddał
w moc wrogów, albo życia pozbawił! Syn milczał chmurny, żona z
córką łzy
połykały gorzkie; a on

wykrzykiwał: "ho! ho! zna się też na mej wartości i Król jegomość! i
wieleby dał
za to, żeby mię w ręce swe dostać; ale nie łącno! nie łącno i
nierychło!" I
biegł znowu na mord i łupieżę.

IX.

A pod niebytność jego, czasami się zjawiał we dworcu młodzian
urodziwy, w

pięknym stroju rycerskim, i przybyciem swoim wielką radość
przynosił matce i
córcie; córcie pono największa. I spoglądał na nią wzrokiem pełnym
lubości, i
szeptał jej słówka pieszczone, i żyć i umierać dla niej przysięgał, a
ona go
słuchając, płonęła wdzięcznym rumieńcem i łzami tylko rzewnymi na
uroczą jego
mowę odpowiadała; a matka nieboga modliła się tylko po cichu, Bogu
ich
polecając; wiedziała bowiem dobrze, przeczuwała sercem matczynym,
że ojciec
nigdy połączyć im się nie da, bo młodzian ów był wiernym praw
swego króla i
ojczystej ziemi obrońcą. Truchlała też i bladła na każdy

gwar w dziedzińcu, bojąc się by maż niespodzianie tam nie wpadł,
pewna że wtedy
śmierć młodzieńcowi, a jej z córką męki najsrozsze, i do zgonu krata
klasztorna.
Na szczęście nigdy się z nim w domu nie spotkał; a słudzy, całą duszą
pani swej
wierni, pana nienawidzący, tajemnicę chować umieli.
Raz, gdy powróciwszy z wyprawy, szwedzki ten partyzant z
przyjaciołmi swoimi,
podochociwszy sobie więcej niż kiedy, chełpił się haniebnymi swemi
sprawami, a
złajawszy żonę i w twarz uderzywszy córkę za to, że się nie radowały
jego
tryumfem, prawie nieprzytomny legł na spoczynek z towarzyszami
szabli i
kielicha; córka z krwawą plamą na bladym liczku, z oczyma nie łez,
ale już ognia
pełnemi, drżąca, zrozpaczona, okropna, przy woławszy sługę
wiernego, długo mu

coś szeptała, i kartkę w rękę mu wcisnąwszy, składając ręce błagalnie:
spiesz!

spiesz! wołała — spiesz na miłość Boga!... A kiedy wy-

szedł, ona stojąc przez chwilę, niema, bezwładna, z oczyma
osłupiałymi, z uchem
natężonym, posłyszawszy nareszcie lekki tętent w podwórzu, jakby
przerażona

okropnością. swego postępu, porwała się za głowę i z głuchym
jękiem rzuciła się
w dziedziniec...

Cisza dwór cały zaległa, wszystko usnęło, usnęło, aby się śród
największej

zgrozy obudzić. W godzinę po północy zadrżały ściany dworu od
tętentu pocztu

zbrojnego, runęły drzwi wyparte, królewscy wpadli do izby, do
poddania się

partyzantów szwedzkich wzywając. Ci ze snu się zerwawszy,
krzykiem: do broni!

odpowiedzieli na ich wołanie, i zaświstały kule, i szczęknęły pałasze, i
wściekłą wrzawą dom się napełnił.

Po chwili wszystko znowu ucichło, pierzchnęli szwedzcy, ustąpili
królewscy;

kilku tylko rannych i dwa z nimi trupy na moich piersiach leżały. W
jednym z

nich, przy blasku ognia pełgającego w kominie, z wielką.

boleścią poznałam owego szlachetnego młodziana, co pod niebytność
pana domu do

nas przyjeżdżał, i córce słowa pieszczone szeptał.. Krew drogiego, z
serca

przeszytego kulą, na mnie płynąca, dziwne jakieś wrażenie we mnie
budziła,

wrażenie straszne, okropne... Zdało mi się, że znowu, ziarnkiem
maluczkiem,
zarzucona piorunem w serce owego człowieka, z którego pierwsze
soki czerpałam, a
z nimi wieczne przeklęstwo!... i aż się spaczyłam w rozpaczliwym
wysiłku, chcąc
się wyrwać z podłogi i uciec z pod tego trupa, daremnie! pękłam tylko
i na
miejscu zostałam! Był to trup pana mojego...
Do zwłok młodziana przypadła wkrótce z jękiem nieszczęśliwa jego
kochanka i
głowę jego skrwawioną na swem łonie złożonywszy, łzami ją obmywała
rzewnemi, i
całowała usta jego zsiniałe, ślubem się z nim wiążąc pośmiertnym. I
matka jej
stała tam przy nim, ręce załamawszy w niemej boleści, umęczona

męczarnią dziecka swojego! A trup pana domu leżał samotny,
odstąpiony od
wszystkich, od żony, córki i syna, który opatrywał towarzyszków broni
ranionych.
Mijam lat kilka jedną tylko wzmianką, że, młody pan, po ojcu objął
rządy domu, i
nową panią wprowadził, a jego matka z obłąkaną swą córką zamknęła
się w
klasztorze. I wiek cały też w krótkim, treściwym, zamknę
wspomnieniu, nie chcąc
się rozwodzić nad nieprzerwanem pasmem tych nieszczęść, na które
codziennie
patrzyłam, albo na które skargi przy mnie wciąż brzmiały. Dość jest
powiedzieć,
że niepodobna klęski takiej wymarzyć, jakaby się nie znalazła w tym
rodzie:
śmierć istot najdroższych i straszniejsze od niej ich przeniewierstwo,
nadużycie

władzy rodzicielskiej i buntownicze zuchwalstwo dzieci, z jednej
strony przemoc
tyrańska w narzucaniu związków nienawistnych lub w przymuszaniu
do zakonnych
ślubów, z dru-

giej opór i samowolność, lub zdradzieckie wykradanie się z pod
rodzinnego dachu,
a nawet i z za krat klasztornych; gwałtowność panów, sług nienawiść i
zemsta
skryta; pozwy i procesa bezecne, zajścia i najazdy sąsiedzkie; ciężkie
choroby,
pomorki, nieurodzaje, pożary: wszystko to z kolei parło się w mury
tego
nieszczęśliwego domu, do którego ja weszłam z straszną pomstą
Bożą. A cóż mówić
o burdach i bachanaljach epoki saskiej? co mówić o tych zjazdach
przedsejmikowych, które ilekroć się tutaj zebrały, tylekroć z beczek
węgrzyna
zaczepnięto natchnienia do jakiejś nowej, zgubnej dla ojczyzny,
uchwały! Co
mówić o powtórnej szwedzkiej napaści, a z nią o wojnie domowej, w
której ta
rodzina, raz wraz się przerzucając to od Sasa to do Lasa, to znów od
Lasa do
Sasa, szła nie za poczciwością, nie za dobrem ojczyzny, tylko za
własną
korzyścią, lub żądzą pomszczenia krzywd osobistych?....

X.

Nastaly wreszcie czasy Stanisława Poniatowskiego. W połowie ich
przypadła śmierć

przedostatniego mieszkańca domu, w który nieszczęście wniosłam.
Był to człek
najzacniejszy pod słońcem: dobry, cichy, potulny i wielce pobożny.
Wychowany
przez Jezuitów, w młodości pragnął gorąco zakonną przywdziać
sukienkę, lecz go
ojciec przymusił do zawarcia ślubów małżeńskich z wdową znacznie
starszą od
niego, niezbyt czystej opinii używającą, ambitną, złą i przewrotną,
tylko bogatą
i skoligaconą. z rody znakomitemi. Wiążąc go z tą kobietą, sam ojciec
wiedział
to dobrze, jak smutne losy w domowym życiu mu gotuje, ale mu nie

szło o szczęście rodzinne, o zaspokojenie serca syna swojego; tylko o
podźwignienie podupadłej fortuny, znaczenia rodu i o przydanie
słabemu jego
przedstawicielowi dzielnej podpory w tej białogłowie, wielce
energicznej, która
z charakteru prawdziwym mężczyzną była. Jakoż od ołtarza
odszedłszy, wnet
ustroiła męża swego w spódnicę, i zostawiwszy go z różańcem i
modlitewnikiem,
sama nietylko cały zarząd domu i włości silną dłonią ujęła, ale pod
zasłoną
mężowskiego imienia i do spraw publicznych się mieszała; trzęsła
sejmikami,
wdawała się w różne podłe frymarki i w konfederacje wchodziła,
poniewierając i
tak już poniżoną cześć tej rodziny.
Jej to też wola sprawiła, że syn ich jedyny był wychowany, nie w
publicznych
szkołach narodowych, lecz w domu, pod wyłączną opieką jakiegoś
Francuza —
oszusta, co pod czarną suknią najczarniejsze serce

ukrywał. Ten to szarlatan i po zamorskich krajach woził go lat kilka, i
wraz z
nim i jego matką, do stolicy wyjechał.
Ojciec w domu pozostał, dni całe i większą część nocy na modlitwie
spędzając i
najostrzejsze wymyślając sobie pokuty i umartwienia. Ogarnęło go
święte
przecucie potrzeby prześlągania, i dobrowolnie się oddał na
expiacyjną ofiarę
za winy całego rodu swojego. Ileż to godzin przeleżał krzyżem,
rozciągnięty na
moich piersiach! ile przeklęczał, twardą dyscypliną się chłoszcząc, i
modląc się
gorąco, i łzy pokutne lejąc! Możeby i przejednał Bożą.
sprawiedliwość, gdyby mu
więcej czasu na to zostało; ale raz list mu jakiś podano, który
odczytawszy,
jęknął tylko boleśnie: "Boże mój!... hańba!... znowu hańba!..." porwał
się z
miejsca, chwycił się za serce, i padł bez duszy, jakby gromem
rażony...

Dowiedziałam się później, że list ów zawierał wieści o wplątaniu syna
przez
matkę w jakąś straszną kabałę, gdzie przedajność i zdrada największą
rolę grały,
i to właśnie zabiło pokutnika biednego.
W tej samej izbie, gdzie Bogu ducha oddał, gdzie padł z jękiem na
moje łono z
sercem pęknięciem, postawiono śmiertelne jego łoże paradne, i przez
trzy dni
patrzyłam jak tłum jego poddanych i wielka liczba sąsiadów
nieustannie ją

napełniały, spiesząc serdeczną, szczerą modlitwą oddać mu cześć
pośmiertną i
miłość swą okazać. Żony i syna tylko nie widziałam, bo do stolicy
było daleko,
bez nich więc pogrzeb się odbył.
Ale się odbył, nie wątpiłam o tem... jednakże tegoż dnia, wieczorem,
znów
połyszałam głośną modlitwą i jęki, znane mi tak dobrze, znów
połyszałam
dyscypliny chłostanie, i nieboszczyk ukazał mi się wyraźnie, jak
dawniej, na
moich piersiach przyklęły,

tylko że już kolana jego nie gniotły mię nic a nic, i nie czułam zgoła
ciężaru
jego.
Ktoś ze służby zajrzał do tej komnaty i z okrzykiem trwogi uciekł
przerażony.
Nazajutrz zajrzał ktoś drugi, i ten pierzchnął w popłochu, bo jak dnia
poprzedniego nieboszczyk znowu się modlił. Odtąd już nikt się więcej
nie
pokazał; przez parę tylko tygodni słyszałam jakiś szelest i szepty w
izbie
przyległej u podwoi mocno zaryglowanych; a wreszcie i te umilkły, i
dom cały
zaległa cisza grobowa, przerywana tylko jękiem i płaczem tej biednej
duszy,
pokutującej za cudze grzechy.

XI.

I wiele lat tak minęło. Razu jednego zaskrzypiały we drzwiach
zardzewiałe

wrzeciądze, echem ponurem zagrzmiały ludzkie kroki w gmachu, tak
długo pustkami
stojącym, i ruch niezwykły, niewidziany od dawna, powoli go
nappełnił. Zaczęto
bielić, myć, uprzętać i przystrajać komnaty, i posłyszałam od
robotników, że syn
pokutnika mojego niebawem ze stolicy ma na stałe mieszkanie do
tego domu
przybyć.
I w samej rzeczy wkrótce przybył z żoną i synem, i z wielkim
dworem, i nowe
życie, nowy obyczaj i zwyczaj do starej siedziby przodków
wprowadził. Wszystko z
nim przyszło odmienne, zacząwszy od wyobrażeń, aż

do stroju i mowy, a wszystko niezmiernie ciekawem było dla mnie,
długo
pozbawionej widoku ludzi, i nie na takich patrzeć przywykłej.
Nowy pan mój, tytułowany to szambelanem, to starostą, to hrabią,
pierwszy raz z
żoną wszedłszy do komnaty: "Oto jest, — rzekł z uśmiechem, mową
cudzoziemską, —
ulubiony przybytek owego ducha, którego przesąd głupiej gawiedzi
stworzył,
oddając mu w posiadanie wyłączne dwór ten tak wygodny. Powiadają,
że jest to
nieboszczyk mój ojciec, którego niby zabiły wieści o karierze mojej:
jeżeli tak,
to z tamtego świata inaczej rzeczy widząc, dziśby powinien mi
przebaczyć i nie
zakłócać spoczynku mego. Dla przekonania zabobonnej czerni, tu
właśnie swoje
sypialnię obiorę; a jak uprzedzę dwór cały, że w żadne duchy nie
wierzę, i że
kulą próbować będę, jakiego rodzaju strach mię napastuje; to pe-

wny jestem, że nikt mi smacznego snu tu nie przerwie."

A żona mu na to: "Podziwiam i wielbię twoją odwagę, bo sama, choć nie jestem

przesądna, nigdybym się w takie próby nie wdała... Bo choć nie wątpię, że żadne

uchy nie istnieją, nasłuchawszy się jednak tych bredni, własną wyobraźnią

mogłabym jakieś widmo sobie utworzyć, i wielkiej trwogi się nabawić."

"Dzieciństwo! zenmą tego nie będzie!" I poszli dalej.

Noc przyszła i postawiono na mnie łoże mahoniowe z miękką sybarycką pościelą. U

stropu zawieszono lampę alabastrową, u węzłowia postawiono stolik, na którym

szpada i para pistoletów zabłysła. Wkrótce nadszedł szambelan z kamerdynerem

swoim, kazał siebie rozebrać, a odprawiwszy go, drzwi zaryglował, obejrzał

pistolety i spać się położył.

Muszę mu oddać w tem sprawiedliwość, że męztwa swego wcale nie kłamał, bo

niebawem zasnął spokojnie, zasnął bez modlitwy, , bez znaku nawet krzyża

świętego.

Wkrótce wszakże ocknąć się musiał, bo komnata, jak zwykle, nappełniła się jękiem

i płaczem, głośną modlitwą i dyscypliny chłostaniem. On zerwał się, usiadł na

łożu, obejrzał się dokoła, i spostrzegł w mglistym lampy połysku, klęczącego

pośród pokoju, ojca swojego, który się poświęcił na expjacyjną ofiarę za winy

rodu swego, którego wieść o politycznej karierze syna zabiła. Musiał go poznać, bo gdy ostatni raz go oglądał przed wyjazdem na wojaz, nie był tak drobnym dziecięciem aby miał stracić z pamięci rysy rodzicielskiego oblicza. Ale nie wierząc w duchy, i biorąc to zjawisko za kuglarstwo jakieś nikczemne, porwał pistolet i groźnie krzyknął, na cel je wzięwszy: "Rzuć

maskę hultaju i przyznaj się kto jesteś, bo wnet trupem tu padniesz!" Widmo, nieporuszone tą groźbą, klęcząc z głową schyloną, jęczało, modliło się i chłostało, jak wprzódy. "Jeszcze raz, — zawołał znowu szambelan — wzywam cię, abys zaniechał swego kuglarstwa, bo ja żartować nie myślę !" Widmo nie zmieniło postawy, ni zajęcia. "I jeszcze raz wołam, dosyć już tego!" po raz trzeci krzyknął szambelan, równie bez skutku. Wtedy targnął za cyngiel, strzał zagrzmiał, i z piersi widma krew czerwoną strugą trysnęła, ale się ono ani zachwiało, ani drgnęło, i jak wprzódy modląc się głośno: "Nie racz pamiętać Panie na występki nasze, ani rodziców naszych, i nie racz nas karać za grzechy nasze,"... ze skrucną wielką biło się w piersi skrwawione. Szambelan wyskoczył z łoża w przerażeniu najwyższym i nieprzytomny, z włosami najeżonemi, do drzwi się rzucił.

Nazajutrz nikt już do tej komnaty nie wszedł, której drzwi mocno zaryglowano,
nikt, oprócz widma z piersią zakrwawioną. Ale i w jego postępkach
dziwna zmiana
zaszła po owym strzale synowskim. Dawniej, w moim tylko pokoju
odbywało swoje
pokutnicze ćwiczenia; odtąd zaś, dom cały opanowało i po wszystkich
komnatach
przechadzać się zaczęło, z raną ciągle się krwawiącą, z modlitwą. i z
jękiem
rzewnym...

XII.

Wkrótce znowu pustka i cisza cały dworzec zaległa i znów, lat wiele,
nikogo,
oprócz pokutnika mego nie widziałam.
Nareszcie wróbel, wpadłszy raz do mnie przez wybite okno,
wyświergotał mi
wszystko, co od ludzi zasłyszał. Nowy dziedzic przybył do dworu, ale
już nie u
nas, tylko w oficynie mieszkanie sobie obrał.
Nic nie wiem, jak mu tam życie płynęło; nie wątpię jednak, że bardzo
wesoło, bo
dziedziniec grzmiał ciągle turkotem kół powozów i trzaskaniem
batów, bo raz wraz
myśliwskie trąbki w nim grały, i skomlały ogary, i rozlegały się
wystrzały; bo
nieraz wśród nocy dźwięki wesołej kapeli dolatywały aż do mnie,
dziwnie się
łącząc z płaczem i modlitwą pokutnika mojego...

I nic mało czasu tak przeminęło, bo pustka, zamieszкана przezemnie,
powoli już w

gruzy walić się zaczęła, i napełniła się rojem puszczyków i kawek wrzaskliwych.

Nowy mój dziedzic snąć już postarzał, bo jakoś cichsze życie zaczął prowadzić.

Smutno mi było, że nic nie wiedziałam o jego doli.

Aż raz do mojej izby weszło z siekierami dwóch ludzi, wydarli mię z podłogi, i

wraz z kilką jeszcze deskami wzięwszy na plecy, na dziedziniec wynieśli.

Nie pojmując coby to znaczyć miało, zdziwiona i ucieszona, że przecie znowu Boży

świat, oglądam, z wielką ciekawością spojrzalam w około... O jakże smutno mi się

zrobiło na widok tego dworca!... Nie dość, że dom główny stał już w ruinie,

officyna także pozór smutnej pustki nosiła i wszystkie budynki chyliły się w

zwaliska, a nawet i dziedziniec, tak niegdyś gwarny, zarósł już chwasty

dzikiemi...

Cięcie siekiery wyrwało mię z tej zadumy i sobą. samą zaprzątnąć mię zmusiło. Po

kilku godzinach męczarni, obojętnej już dla mnie, ujrzałam się w składzie

jakiejś skrzynki podłużnej, pomalowanej na czarno i białym naznaczonej

krzyżykiem.

Znowu mię wzięto na barki i zanesiono do officyny.

Tu na tapczaniku, prostym kilimkiem przykrytym, leżały zwłoki ostatniego potomka

wielkiego rodu, w stroju jakiegom na żadnym z jego przodków nie widziała, z

twarzą nabrzmiałą i szkaradnym trądem okrytą., z wyrazem dzikiej zwierzęcości

zastygłą.

W izbie było brudno i nędznie, a oprócz księdza i starego jakiegoś szlachcica, snać officyalisty, sami tylko chłopci i żebracy ją napelniali, dobrze już podochoceni. Ksiądz ze smutkiem wielkim patrzył na zwłoki i chwiejąc głową, szeptał do officyalisty:
— Boże mój, Boże! w cóż się to obróciła ta znakomita rodzina!., takie stosunki, takie

dobra ogromne!... dzisiaj wszystko to w ruinie i na przyzwoity pogrzeb dla ostatniego jej potomka nie starczy, i niema komu nawet łzy jednej po nim uronić!
— Takie to już Boże dopuszczenie! — -odparł szlachcic z westchnieniem. —
Wszystko zmarniało, wszystko jak z dymem poszło!.. Nieboszczyk szambelan, odpuść mu Panie! Bóg wie jaką drogą życie swe przeszedł, i jakich zasad się trzymał; toż nie dziw, że i syna nic nie nauczył dobrego, a jeszcze w spadku mu rzucił zbrodnię niesłychaną, jaką swój ród pokalał, bo jak to X. Dobrodziejowi wiadomo,... straszno i wyrzec!... on strzelał do pokutującego ducha ojca swojego, którego widmo dotąd jęczy w pałacu, z piersią zakrwawioną kulą synowską.
Oddał też szambelanica do wojska, gdzie się chłopiec do ostatka rozwydrzył.
Przehulawszy tam znaczną część swej fortuny, starał się o dymisję, wrócił do domu i ożenił się

szczęśliwie. Wziął kobietę jakby anioła z nieba; ale nie umiał jej szanować, i jak zaczął tu straszne orgje wyprawiać, jak zaczął hulać z koleżkami i koleżankami dawnymi, tak ja wreszcie sami rodzice mu odebrali i o rozwód się dla niej wystarali. Zostawszy sam sobie, nie znał już żadnej w rozpuście swej granicy; rozrzucił, przegrał i przepił całą fortunę!... Przepił, mój dobrodzieju! i to nie winem, a. prostą wódką i spirytusem nareszcie!... Zgroza pomyśleć, że i zdrowie i życie w wódczysku tem utopił!... na śmiertelnej leżąc pościeli, gorączką straszną palony, zamiast, mixtur chłodzących, jeszcze się wódki domagał, a były ręce nikczemne, co mu ją podawały, i skonał z flaszką przy ustach!... I łkaniem biedny starzec mowę swoją gorzką zakończył, a ksiądz, smutnie westchnąwszy, wdział komżę i stułę, wziął kropidło w rękę i z modlitwą trumną poświęcił. Rzecz dziwna! na mnie ani jedna kropla święconej wody nie padła!...

Złożono zwłoki do trumny, postawiono na prostym wozie, w parę nędznych szkapek zaprzężonym, i odprowadzono — ot na ten cmentarz.
— Ha przecie! — pomyślałam sobie, kiedy mię wreszcie ziemią zasypano z tym trupem; — tu już nie zaszkodzę nikomu! Z serca ludzkiego przed wiekami wyrósłszy, z sercem ludzkim w proch się obrócę; a jeśli z naszych popiołów i wyrośnie chwast jadowity jaki, to go na cmentarzu nie tkną ręce niczyje.

I zdało mi się, że już obumieram powoli, że już w nicość przechodzę, i długo,
długo trwało to błogie złudzenie.... gdy niespodzianie, nie wiem z kąd,
nowe siły
złowrogie we mnie wstąpiły. Czy jakiś sen mi się przysnił okropny,
czy myśl
jakaś przyszła rozpaczna?! Nagle się obudziła we mnie straszna
odraza do tego
człeka, w którego trumny skład weszłam, i rozparłam ziemię
gwałtownie, i
wyrzuciłam precz te kościska, co tu w około bieleją....

I oto, znowu na świecie, leżę tu smutna i trwożna, przyszłości swojej
niepewna,
i daremnie proszę Nieba o słoty i zgniliznę, coby mię prędzej
zniszczyły!....
Może ciebie Bóg wybrał za narzędzie wybawienia mojego! tyś głos
mój zrozumiał!
ty się nademną użalisz! o weź mnie i spal na ogniu i popioły moje
rozwiej z
wichrami."....
Tak mię błagała biedna, głosem bolesnym wskroś mi serce
przejmując. A ja
zdumiony dziwną, jej powieścią, która mi się zdawała być pełna
wielkiej nauki,
podniosłem ją z ziemi, i rzekłem ze współczuciem najżywszem: "Bądź
pocieszona! o
tak! ja cię wybawię, ale nie przez ogień niszczący, tylko przez krzyż
żywiący.
Pójdź-że ze mną niebogo! z deski trumiennej przemieniona w godło
zbawienia,
Chrystusa przyjmiesz na swoje łono, i już nie rozpacz i klęski, lecz
pociechę i
łaskę świata przynosić będziesz."

